№ 9 (16). Warszawa — Listopad 1926 r. Rok II.

Polski Czerwony Krzyż

miesięcznik

Organ Warszawskiego Okręgu-Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża

pod naczelną redakcją **Anny Roszkowskiej,**

Przewodniczącej Warszawskiej Komisji Oddziałowej Kół Mł. P. C. K.

Poprawiać zdrowie — Zapobiegać chorobom — Łagodzić cierpienia — to zadania Czerwonego Krzyża podczas wojny i w czasie pokoju.

Warszawa, Mazowiecka 9 m. 7, tel. 302-96. Konto czekowe w P.K.O. 10-540

Prenumerata roczna 10 zł.

TREŚĆ NUMERU:

Do Sz. PP. Prenumeratorów.

Administracja zawiadamia, że, kto z Sz. PP. Prenumeratorów nie wniesie należności za IV kwartał w wysokości 3 Zł. do dn. 15 grudnia, wysyłka numerów zostanie przerwana. Konto w P. K. O. Nr. 10.540. Przekaz P. K. O. załączamy.

Ze względu na coraz większe zainteresowanie się naszem pismem przez szeroki ogół społeczeństwa od nowego roku miesięcznik nasz będzie wychodził w zmienionym zwiększonym formacie. Nadto administracja zawiadamia, że w przyszłych latach przerwa wakacyjna następować nie będzie i, co za tem idzie, od nowego roku prenumerata roczna wzrośnie ze Zł. 10 na Zł. 12. Cena pojedyńczego egzemplarza mimo zwiększonego formatu nadal pozostanie ta sama.

ADMINISTRACJA.

Najpierwszym nakazem obecnej chwili jest mobilizacja obywatelska pod hasłem szerokiego uświadomienia czynu społecznego. Propaganda zdrowia przez nauczanie szerokich mas zasad higjeny, propaganda moralności przez wszczepianie w dusze ludzkie umiłowania dobra i piękna na zasadach Chrystusowych, energja czynu, pełnionego w imię tych zasad, tępienie egoizmu osobistego i klasowego — oto najważniejsze zadania, które czekają zmobilizowanych do czynu obywateli. *A. R.*

ANNA ROSZKOWSKA.

Klęska bezdomności a Czerwony Krzyż.

Gdyby ktokolwiek przed kilkunastu laty był przepowiedział, że w miastach naszych całe rzesze ludności będą pozbawione największego dobra, jakiem jest kąt własny i dach nad głową — nietylko niktby w taką przepowiednię nie uwierzył, lecz niefortunny prorok naraziłby się na śmieszność

Tymczasem od szeregu lat stoimy bezsilni wobec klęski bezdomności, która rozszerza się w coraz bardziej zastraszających rozmiarach.

Skutki jej są wprost nieobliczalne, a jeśli zważymy, że pociąga ona za sobą bezład życiowy, ruinę życia rodzinnego, że szerzy łatwo zrozumiałe poczucie krzywdy i nienawiść do posiadaczy wygodnych, ciepłych mieszkań — to każdego przerazić muszą nieuniknione wprost wyniki takiego stanu rzeczy.

Większego nieszczęścia jak bezdomność—trudno sobie wyobrazić. Czy bowiem syty, dobrze odziany i mniej lub więcej normalnie żyjący obywatel może zrozumieć, iż można istnieć, nie mając dachu nad głową?

Powody tej klęski są liczne. Aby zdać sobie z nich sprawę, trzeba sięgnąć do cyfr, oraz do przyczyn natury ogólnej, które tę klęskę sprowadziły.

Przywykliśmy, mówiąc o wielu ujemnych objawach obecnego życia, stale powtarzać frazes, który stał się już zupełnie banalny (jeśli nie jest to poprostu tchórzliwe tłomaczenie się z braku energi i odporności!) „to są skutki wojny".

Niewątpliwie huragan wojny, która wstrząsnęła całym cywilizowanym światem, jest przyczyną wielu zjawisk, z któremi nie umiemy sobie dać rady. Jednakże klęsk, które pogrążają w niedoli tysiące ludzkich istnień nie wolno nam traktować powierzchownie. Chcąc je usunąć, lub przynajmniej choć w części im zaradzić—trzeba umieć je ujmować szczegółowo i głęboko.

Od r. 1914, t. j. od chwili wybuchu wojny, której terenem też była Polska, zarówno Warszawa, jak i inne miasta nasze nie mogły się rozbudować, co jest koniecznem w normalnych warunkach, nawet przy normalnym przyroście ludności, a cóż dopiero wtedy, gdy zmiana politycznego stanowiska kraju wywołuje nagłe zmiany i wzrost zaludnienia.

Najdotkliwiej jednak głód mieszkaniowy dał się we znaki stolicy i to się stać musiało z następujących powodów. Odzyskanie niepodległości naszej Ojczyzny spowodowało organizację władz państwowych, a co za tem idzie zajęcie wielu domów przez instytucje państwowe. Prócz tego wiekszość obywateli Polaków, zamieszkujących długie lata poza granicami kraju, zwłaszcza w Rosji, powracając osiedlało się w Warszawie, w nadziei znalezienia tu najlepszych warunków życia i zarobkową pracę.

Wreszcie od 1919 r. powstała niezliczona ilość banków. Rozporządzając dużemi kapitałami, wykupywały one domy prywatne, usuwając mieszkańców.

To są przyczyny spowodowane zmianami politycznemi i ekonomicznemi kraju.

Wślad za niemi ukazała się hydra lichwy mieszkaniowej, uprawiana przez właścicieli mieszkań. W stosunku do opłat ściąganych od sublokatorów komorne pobierane przez właścicieli domów, było śmiesznie małe. Więc budowanie nowych domów nie przedstawiało dla kapitalistów żadnego interesu — zwłaszcza wobec ustawy rządowej o ochronie lokatorów.

Ruch budowlany ustał niemal całkowicie, zaś właściciele domów, dawniej zamożni, mając od kilku lat bardzo nieraz szczupłe dochody ze swych kamienic, zaprzestali remontowania ich, więc z czasem domy ulegały zniszczeniu,

a nawet zawaleniu, co się też stało, jak wykażemy w dalszym ciągu, w wielu dzielnicach Warszawy.

Dla zapobieżenia szerzącemu się brakowi domów mieszkalnych—zakładano kooperatywy budowlane. Ludzie nieśli do nich nieraz ostatnie oszczędności w nadziei uzyskania dachu nad głową. Lecz kryzys ekonomiczny sprawił, że złożone przez członków kooperatyw sumy okazały się nie wystarczające, więc ta inicjatywa, która wydawała się tak pożyteczną—upadła, nie przynosząc oczekiwanych owoców załagodzenia głodu mieszkaniowego.

Wreszcie powstał Komitet rozbudowy Warszawy; zdawało, się, iż nareszcie głód mieszkaniowy jeśli nie całkowicie, to choć w znacznej części będzie złagodzonym.

Lecz Bank Gospodarstwa Krajowego, założony w zasadzie dla celów jasno określonych w samej nazwie tej instytucji—zawiódł oczekiwania, bo pomimo iż Komitet rozbudowy nieustannie zwraca się doń o kredyty, te jednak dotychczas nie zostały mu przyznane. Dlaczego tak się stało—pozostaje dotąd niezbadaną dla obywateli stolicy zagadką.

Ciekawe cyfry podaje „Kurjer Poranny" z d. 15/X b. r. Według statystyki w nim zamieszczonej Warszawa musi mieć corocznie nowo postawionych domów 7 tysięcy, więc od 1919 r. powinna posiadać 50 tysięcy nowych domów mieszkalnych. Tymczasem w ciągu 7 lat wybudowano zaledwie 1245 domów, nadbudówek wykonano 270 przebudówek 1064 co razem wynosi 3729 robót budowlanych. Z tej cyfry przypada na budowę dokonaną przez osoby prywatne 1279, przez władze państwowe 99, przez władze miejskie 61, przez spółdzielnie mieszkaniowe 111 domów.

Jakie nikłe wydają nam się te cyfry, jeśli zważymy ogromne podatki, które ludność płaci na t. zw. „rozbudowę"!

A tymczasem nieremontowane domy walą się jeden za drugim. Obecnie Wydział Techniczny Magistratu oblicza ilość domów grożących zawaleniem się w Warszawie na 70, do natychmiastowej rozbiórki zakwalifikowano 6 domów, do natychmiastowej gruntownje naprawy 133, do remontu 173.

Tak się przedstawia tragiczny rezultat zastoju budowlanego, a co zatem idzie nieuchronny wzrost ilości bezdomnych, gdyż z walących się domów oczywiście mieszkańcy są usuwani i z dnia na dzień wraz z rodzinami pozostają bez dachu.

A teraz, aby już wyczerpać stronę formalną sprawy bezdomnych, uważamy za stosowne przejrzeć statystykę, która da nam ścisły obraz wzrostu bezdomności w stolicy.

W styczniu 1924 r. było zarejestrowanych 180 osób, usuniętych z walących się domów, ku końcowi tegoż roku liczba ich wzrosła do 600 osób, wkońcu 1925 r. do 1800 osób, w roku bieżącym do 3200 osób.

Władze Magistrackie w 1924 r. umieszczały bezdomnych w 10 szopach drewnianych i w 7 blaszanych namiotach, pozostałych po okupantach na Żoliborzu.

Długo jednak niepodobna było trzymać ludzi w takich warunkach. Podczas zimy stali się oni podobni do żywych trupów o twarzach sinych i spuchniętych od zimna i tragicznie wykrzywionych bólem. Rzesza bezdomnych zimą 1924 r. była obrazem nędzy i rozpaczy.

Żadna instytucja nie miałaby odwagi wziąć na swe barki tak ciężkiego zadania i tak wielkiej odpowiedzialności, żadna bowiem nie mogła posiadać odpowiedniego aparatu do rozciągnięcia należytej opieki nad bezdomnemi. Praca ta bowiem wymagała dużego zastępu ludzi wyćwiczonych w pracy społecznej, o wyrobionej energi i doskonałej organizacji wewnętrznej.

Pozostawić zaś te rzesze najnieszczęśliwszych bez żadnego ratunku—byłoby wprost zbrodnią społeczną.

Czynniki samorządowe Warszawy, mając nawał rozlicznych zadań do spełnienia, nie mogły odegrać tu roli wykonawczej.

Podjął się więc tej pracy, po głębokich rozważaniach nad jej ogromem i trudnościami, Zarząd Warszawskiego Okręgu Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża.

I czyż mogło być inaczej? Jeśli pracownicy czerwonokrzyscy podczas wojny nie wahają się pod gradem kul opatrywać rannych, narażając się co chwila na śmierć, lub kalectwo — czyż mogliby obojętnie patrzeć na straszliwy stan tych ludzi chorych i napół przytomnych z zimna i nędzy, jakiemi byli bezdomni w 1923—24 r.

Dla każdego pracownika czerwonokrzyskiego jasnem jest, że klęska bezdomności jest ściśle związana ze skutkami wojny, a więc, będąc klęską powojenną, obowiązuje Czerwony Krzyż, który ma przecież wypisane na swym sztandarze „poprawiać zdrowie, zapobiegać chorobie, łagodzić cierpienia”.

Gdzież więc miałby istotne zastosowanie szczytny ideał Czerwonego Krzyża „Miłuj bliźniego”, jeśliby praca czerwonokrzyska ograniczała się jedynie do papierowej roboty, do teoretycznych, a nawet choćby praktycznych przygotowań

na wypadek wojny, która być może nawet przez dłuższy czas szczęśliwie będzie kraj nasz omijać?

Dość przejrzeć zagraniczne roczniki sprawozdań z prac Czerwonego Krzyża w innych krajach. Wszędzie Czerwony Krzyż leczy rany społeczne w czasie pokoju, pełniąc służbę samarytańską, wszędzie, gdzie tylko zajdzie tego potrzeba. Ta wszechstronność pracy Czerwonego Krzyża uwidoczniła się od czasu wszechświatowej wojny, która wywołała tyle najróżniejszych klęsk, trwających niestety aż do chwili obecnej. To też dla tego dzialalność tej instytucji wszędzie ma olbrzymie znaczenie, obejmując najrozmaitsze placówki, i cieszy się gorącem poparciem rządów i społeczeństw.

Przytem właśnie dla tego, by tej swojej wartości ogólno społecznej nie tracić i by zyskiwać popularność wśród szerokich mas—Czerwony Krzyż nie może być zawieszonym we mgłach nieprzystępnej dla ogółu teorji—musi mieć stały kontakt ze społeczeństwem, musi koić ból, ocierać łzy, ratować w niedoli.

Takie były i są motywy, które spowodowały Zarząd Okręgu Warszawskiego P. C. K. do roztoczenia opieki nad bezdomnemi.

W dalszych numerach na tem miejscu postaramy się szczegółowo omówić metody, które Czerwony Krzyż zastosował, podjąwszy się opieki nad bezdomnemi, dotychczasowe wyniki jego pracy, jakie osiągnął, oraz plany na przyszłość.



Żołnierskim mogiłom...

W koszmarnych rozchwiejach odartych, bezlistnych rózeg i upiornych rozedrgań konarów osęków, w tajemniczych, wirowych zrywach krwistych osypów listowia, w pojękach, tłukącego o rozstawione ramiona krzyżów, wichru— nadchodziła tajemnicza, mistyczna „Zaduszek noc jesienna“...

Karnym, wyszeregowanym czworobokiem legły szare mogiły żołnierskie w ostatniem ułożeniu do snu wiecznego i spoczynku, wierne przysiędze i dyscyplinie, po bokach mając kamratów i towarzyszy długich zapasów i ostatecznego końca, na czele wyniosłe, ozdobne potężniejszemi krzyżami, mogiły wodzów i przywódców.

Jednostajny i nużący refren: „... poległ za ojczyznę...”, monotonja prostych, drewnianych krzyżów, zaciszne odsunięcie się od rozgwarów wsi i miasteczek—nie ściągają tłumów, gawiedzi, okraszeń grozy cmentarzyska radosnemi połyskami lampjonów, nie kuszą płomyka choćby prostej świeczki; biel osypującego się piasku nie skryta wstęgami wieńców i kwiecia.

Wicher moduluje wyśpiewy, wtrąca w zwrotki zawodzeń płaczliwych nagły zryw, jakoby ludzkiego błagania...

Zawieruszony przechodzeń dygoce, bo mu litość i żal za temi tysiącami imiennych i bezimiennych splatają dziwy halucynacyj, niesamowite, poczwarne baśnie fantazyj i przejęcia się...

Noc bezgwiezdna... i wicher rozpłakany... i owe załomy ruchliwe brzóz rozszeptanych..., błyski białawe i cienie, niby dusze, zawodzące nad bezkrasnemi mogiłami, z wyrzutem skomlące w stronę łun cmentarnych miast o maleńką świeczkę miłości i pamięci, o szept dziecięcej modlitwy, o główki jasne, pochylone troskliwie nad darnią grobową, coby przypominały bohaterom synaczków, porzuconych gdzieś w chatach, dla świętej sprawy...

...A z onych rozbłyskań gwarnych nie przybieży nikt z uciszeniem żołnierskich zawodzeń i szlochu... Nikt!..

Z wytężeniem prześlepiają okolicę wyczekujące duchy przez noc całą, zazdrośnie chłoną pożądliwemi oczyma bijące nad miastowemi cmentarzami łuny...

Nikogo... nikogo...

Więc kładą się rozżalone dusze żołnierzyków na rok długi, śniąc pod bielą ziarnistego piasku o fali płomyków, rozchwianych nad ich zapomnianemi mogiłami.

. . . .

Poniosła pamięć przechodnia nad rząd, skrytych w otuleniu brzóz, mogił bojowników.

Z wypchanemi ogromną ilością świec kieszeniami wlecze się człowiek żywy zatknąć odosobniony hołd płomienny pod onemi prostemi krzyżykami, aż tu mu z załomu drogi buchnie w zdziwione oczy fala żółtawych, pełznących płomyków.

Cóż to?...

Nad mogiłami szare, chłopięce sylwetki, miłośnie schylone w otulaniu osypujących się grobów żywiczna sośniną, barwnemi rzędami świec dekorują piersi mogił, lub na klęczkach niosą gorącą prośbę przed tron Najwyższego o przebaczenie win zginionym, nierzadko pochlipując perłami łez, co, padłe na żwir mogił, wsiąkają aż do sedna skrywek i całują śniące usta żołnierskie.

Porwą się junacy z leż swych, wyszeregowanych karnie i hulać poczną w pośpiewie wichu, który inne jak łońskiego roku zawodzi motywy i chylą się ku tym przejętym główkom harcerzyków z całowaniem lekkiem, a namiętnem i niewidocznem, z błogosławieństwem wzruszonych, umęczonych ust za ich „dobry”, przedziwnie dobry „uczynek”. Nie dygotał ów przechodzień strachliwie jak ongiś, jeno sypnął na ręce chłopaków i dziewcząt zapasem świeczek przeróżnych i łzami rozczulenia i podzięki.

...Inne melodje w ową „Noc Zaduszek” wypłakiwał wichr — poświst...

. . . .

Hej, a ileż tych mogił choć drogich a zapomnianych i ciemnych w oną „Noc Pamięci i Modlitwy”..., mogił powstańczych i niedawnych.

A ileż to ludzi, niepomnych, że w świętej, polskiej ziemi leżą smutnie ich dobroczyńcy i obrońcy...

Oby w roku przyszłym powędrowały korowody całe z wieńcem prostym i świeczką w ręku na zapomniane mogiły zginionych, oby ojcowie dzieciom nad stosem ofiarnym szeptali płomienne słowa katechizmu narodowego...

Tylko błysku światła i szeptu modlitwy, niczego więcej już bohaterom nie trzeba...

Wierzę, że za rok rozbłysną radośnie cmentarzyska wojów...

A. Wójcicki.



Poległym Siostrom

POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA.

Rzuciwszy progów rodzinnych strzechę,
Gdy naród cały porwał się w bój,
Szłyście, o Siostry, niosąc pociechę
Tam, gdzie powstawał żołnierski znój.

Ciche i słodkie, jak czyste duchy,
Szłyście ochotnie ocierać łzy...
Niejedne legły, rycerskie zuchy,
We własnej, młodej skąpane krwi!...

Dzisiaj w doroczne Umarłych Święto
Na groby niesiem Wam biały kwiat...
I powtarzając słowa „memento”,
Dążym za Wami w nieznany świat...

O siostry Białe! Dziś serca nasze
Was błogosławią za ten Wasz trud,
Bo nasza wolność, własne poddasze,
To i Waszego męczeństwa Cud!...

F. K.

ZADUSZKI, 1926.

M. ŁADA.

Przeszkolenie Zawodowe Inwalidów Wojennych.

III.

Ilu jest w Polsce inwalidów? Stan ekonomiczny, warunki i podaż pracy?

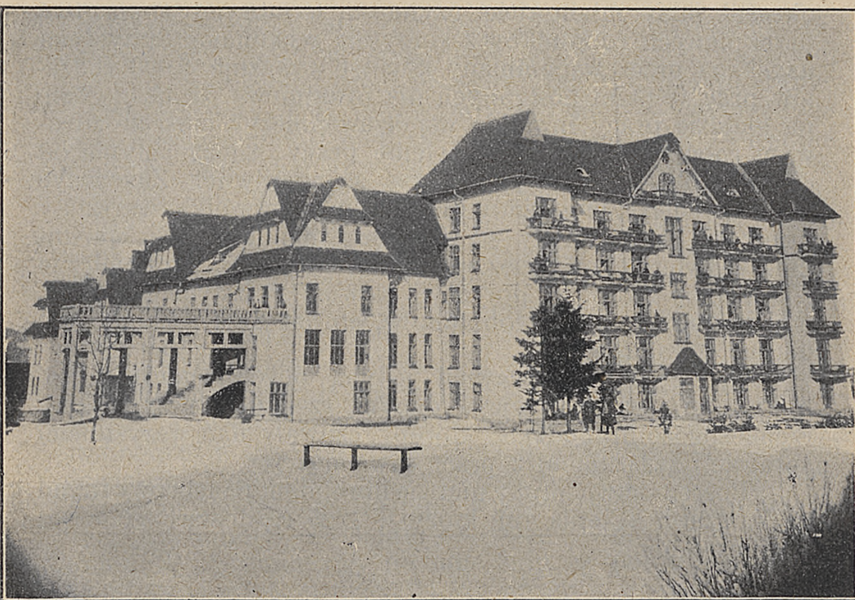
Społeczeństwo polskie mało wie i mało interesuje się kwestją inwalidzką. Poprzestaje się przeważnie na nieścisłych danych zasłyszanych tu i owdzie, a niewielu znajdzie się takich, którzy zatroszczą się o zbadanie stanu istotnego. Podstawą rzeczowego poglądu na tę sprawę jest uświadomienie sobie istniejącej dziś ilości inwalidów w Polsce. Słyszy się wymieniane cyfry przesadnie duże lub przesadnie małe — rzadko jednak zgodne z rzeczywistością. Rzeczywistości naszej lekceważyć nie można, przedstawia ona poważny materjał — gdyż na terenie całej Rzeczypospolitej Polskiej, według informacji Związku Inwalidów z dn. 1.VIII 1926 r., znajduje się 340.000 inwalidów wojennych i 150.000 sierot po poległych. Inwalidzi rozproszeni są na terenie całego państwa i oprócz znikomej ilości, pozostającej w zakładach inwalidzkich, nie tworzą nigdzie większych ugrupowań. Kongresówka posiada $2\frac{1}{2}$ dziesiątej, Poznańskie $^{4}/_{10}$, Małopolska $3\frac{1}{2}$ dziesiątej, ogólnej ilości inwalidów.

Większość inwalidów stanowią rolnicy i ci przeważnie powrócili na wieś. Wszystkie inne zawody oraz jednostki pozbawione kwalifikacyj zawodowych dążą do miast, celem wyszukania zarobku i starania się o koncesje. Tu podkreślić należy straszny los studentów którym nieukończenie studjów zwichnęło los nazawsze. Stan ekonomiczny ogółu inwalidów jest bardzo ciężki.

Najbardziej poszkodowani inwalidzi, którzy całkowicie utracili zdolność do pracy, a poprzestać muszą na rencie rządowej, są ciężarem rodzin lub społeczeństwa. Źródła utrzymania zarobkujących inwalidów rozgrupować można w następujący sposób: 1) koncesje rządowe, 2) posady w zakładach i urzędach państwowych, 3) praca w zakładach prywatnych, 4) zarobek na własną rękę, a) na posiadanej przed wojną ziemi lub warsztacie, b) stworzenie nowego warsztatu pracy.

Koncesje rządowe mogłyby stać się poważną podstawą bytu inwalidów, gdyby odnośna ustawa weszła całkowicie w życie. Do otrzymania koncesji oprócz inwalidów uprawnieni są również emeryci i zasłużeni działacze. Ostateczna

decyzja w tych sprawach należy do Ministerstwa Skarbu. Jednak dotąd wiele koncesji pozostaje w dawnych rękach z dziada pradziada, lub ulega ponownemu wydzierżawieniu. Ilość ta w niektórych miejscowościach dochodzi do 50%. Na terenie Kongresówki rok rocznie trzeba składać podania o odnowienie koncesji, w innych dzielnicach prawidło to nie obowiązuje. Dlatego też obecnie koncesje, których w państwie polskiem znajduje się około 70.000 są głównym powodem zatargów i ostrych wystąpień ze strony inwalidów.



Sanatorjum Polskiego Czerw. Krzyża w Zakopanem. — Widok ogólny.

Obsadzanie posad w zakładach i urzędach państwowych, oraz praca i ilość zatrudnionych inwalidów w zakładach prywatnych unormowane są ustawami. Rozporządzenie Ministra Pracy i Opieki Społecznej z dzia 22 listopada 1921 r. było powodem do wezwań, wystosowanych w tym samym duchu w późniejszym czasie do naczelników poszczególnych wydziałów, jednak wykonanie ustawy wciąż wiele pozostawia do życzenia i trudnem jest do skontrolowania. Jedyną gwarancją może tu być tylko dobra wola, czego niestety niejednokrotnie brakuje. Np. zdarzało się, iż

niektóre zakłady przemysłowe dla ominięcia ustawy przydzielały prace nad siły lub też zupełnie nieodpowiednie do kwalifikacji danego osobnika, bywały wypadki, iż pracodawcy płacili poniżej cennika—w stosunku do utraty zdolności do pracy, bywały wprost odmowy przyjęcia na posady. Przykłady z zagranicy stwierdzają, iż nie wszystkie prace wymagają zupełnie zdrowego ciała. W zakładach Forda w 1923 r. pracowało 9563-ch robotników ułomnych i inwalidów, którzy pobierali płacę na równi ze zdrowymi. Coprawda specjalny Komitet zbadał uprzednio ich zdolności, określił jakie mianowicie czynności w fabryce mogą być przez danych robotników z korzyścią wykonane. Statystyka uzyskana przez wspomniany komitet wykazuje 3.000 rodzajów prac w pełni dostępnych dla inwalidów. U nas, gdzie na giełdzie pracy inwalida współzawodniczyć musi ze zdrowym robotnikiem, a przydzielenie pracy zależy jedynie od dobrej woli pracodawcy, szanse są nierówne. Zaznaczyć również należy, iż zakłady przemysłowe i wszelkie warsztaty pracy nie podźwignęły się jeszcze z nienormalnych warunków wytworzonych przez wojnę, a trudności ekonomiczne wywołujące redukcje dotykają głównie słabszych fizycznie, mniej produkcyjnych robotników, co też daje się dotkliwie odczuć inwalidom.

Oprócz opieki prawnej jedyną obroną mogłaby być tutaj dobra specjalizacja w danym rzemiośle i syndykaty rzemieślniczo-inwalidzkie, któreby czuwały nad wszystkiemi sprawami związanemi z pracą inwalidy.

Pośrednictwo pracy ułatwia inwalidom państwowy urząd w Warszawie (Ciepła 19), który w 1925 r: dostarczył posad 970 inwalidom.

D. c. n.



DR. WITOLD SAWCZYŃSKI.

Higjena osobista i ogólna*).

II.

POWIETRZE.

Nieoświecony materjalista uważa powietrze za nic i mówi, że „nie może żyć powietrzem”. Fizjolog poucza, iż powietrze jest nieodzownym środkiem spożywczym, w kościele lud wraz z kapłanem woła „od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”, a współczesny lekarz powiada ludności, trapionej zarazami: „czem grzeszysz, tem będziesz ukarany” i wymaga utrzymania powietrza w czystości — co przedtem było niezrozumiałe i niepraktykowane. Więc cóż to jest powietrze? Jest to nadzwyczaj stała mięszanina kilku gazów w takim stosunku, że na 100 litrów powietrza przypada 79,04% azotu (N); 20,92% tlenu (O); 0,03% bezwodnika kwasu węglowego (CO_2) i około 0,47% (zmienna ilość) pary wodnej (H_2O) **). Prócz tego w ilościach nader drobnych znajduje się w powietrzu ozon, amonjak, metan (gaz błotny), siarkowodór, pył, drobnoustroje. Powietrze tworzy grubą warstwę na 75—90 kilometrów, otaczającą ze wszech stron naszą ziemię, czyli jak pięknie wyraził się jeden z higjenistów „ciepły płaszcz powietrzny, w którym nasza matka ziemia odbywa swą podróż w zimnych przestrzeniach wszechświata”. Gęstość powietrza stopniowo się zmniejsza, licząc od ziemi w górę. Z każdym oddechem do płuc wprowadzamy ½ litra powietrza. Na minutę normalnie oddychamy 16 razy, a więc na 1 minutę wprowadzamy do płuc 8 litrów powietrza, na godzinę 480 litrów, za dzień 11.520 litrów powietrza, czyli 14,9 kilogramów. To też zrozumiałem jest, dla czego niezmiernie ważną jest sprawą jego skład, czystość i własności fizyczne.

Tlen (O) gaz życia. Niezbędny jest do życia i do palenia się. Wprowadzony do płuc, utlenia naszą krew. Do płuc wprowadzamy w ciągu godziny 100 do 416 litrów tlenu. Organizm na potrzeby swe (utlenianie) zatrzymuje około 25 litrów, gdyż wydechowe powietrze zawiera mniej tlenu od atmosferycznego o 4—5%, jednakże tlen znajduje się w powietrzu zawsze w jednakowej ilości, a pochodzi to stąd, że

---

*) Pierwszą część niniejszego artykułu drukowaliśmy w Nr. 8 (lutowym) z b. r. *(Red.)*.

**) Jest to skład chemiczny powietrza.

ubytek pokrywa czynność roślin. Rośliny przez swe zielone części pochłaniają bezwodnik kwasu węglowego (CO_2), rozkładają go na węgiel C, który idzie na budowę rośliny i tlen O_2, który rośliny wydychają, a wdychają ludzie i zwierzęta. Powyżej wskazałem, iż człowiek wydycha o 5% mniej tlenu, niż wdycha w siebie; natomiast wydycha znacznie większą ilość bezwodnika kwasu węglowego, bo na godzinę 4 litry CO_2 więcej, niż ilość, którą wdycha. Z tego powodu jeśli znaczna ilość ludzi znajduje się w zamkniętem pomieszczeniu, to czują się niedobrze (jeśli niema odpowiedniej wentylacji). Może wtedy nastąpić taka chwila, iż w powietrzu będzie za mało tlenu, a będzie nadmiar bezwodnika kwasu węglowego i organizm ludzki nie ma wtedy możności wydychać nadmiaru CO_2. Dłuższy pobyt w takich warunkach zagraża śmiercią. Historycznym przykładem jest następujące wydarzenie: po bitwie pod Austerlitz Francuzi zamknęli do izby, niemającej żadnego dopływu powietrza 300 jeńców Austrjaków; w ciągu nocy udusiło się 260. W 1843 r. zamknięto na statku emigracyjnym „Londonderry" wszystkie otwory z powodu burzy; w przeciągu kilku godzin ze 150 ludzi zadusiło się 70 w podkładowych pomieszczeniach. Znane są „Psia grota" w Neapolu, gdzie giną zwierzęta z nadmiaru bezwodnika kwasu węglowego, oraz doliny jadowite na wyspie Jawie, z atmosferą kwasu węglowego.

Ozon. W powietrzu znajdujemy ozon. Jest on odmianą tlenu. Trzy części tlenu dają dwie części ozonu. Ślady ozonu powstają wszędzie, gdzie ciała płynne przy pomocy ciepła przemieniają się w parę, a więc na tężniach (u nas tężnie Ciechocińskie), w wodospadach i nad powierzchnią morza, oraz tam, gdzie parują oleje eteryczne np. na świeżo pomalowanych ścianach. Ozon tworzy się pod wpływem wyładowań elektrycznych (burze), po burzy z piorunami zwykle mamy nadzwyczaj przyjemne i zdrowe powietrze. Ozon posiada swoisty zapach, własności utleniające, większe od tlenu. Wpływ ozonu jest bakterjobójczy. Tam gdzie są ślady ozonu—powietrze jest bezwarunkowo czyste.

Azot (N) główna składowa część powietrza, gaz zupełnie obojętny, służy dla rozcieńczania tlenu.

Para wodna (H_2O). Powietrze może być czynnikiem życia organicznego dopiero wtedy, jeśli oprócz tlenu i azotu zawiera wodę. Znaczenie wody w powietrzu jest wielorakie. Para wodna przepuszcza świecące promienie słoneczne t. j. ciepło i światło, ale nie przepuszcza ciemnych promieni cieplikowych ziemi. Bez powłoki z pary wodnej kula ziem-

ska wystygłaby, tak samo, jak księżyc. Powietrze i woda są podstawowemi warunkami życia na ziemi. Dla zdrowia ludzkiego nadzwyczaj ważne ma znaczenie stopień wilgotności



Sanatorjum Polskiego Czerwonego Krzyża we Lwowie.
Widok ogólny.

powietrza t. j. ilość zawartej w niem wody. Ilość wody w powietrzu zależy od ciepłoty powietrza. Im wyższa ciepłota, tem więcej wody w powietrzu i naodwrót. Przy temperaturze — 20 C w metrze sześciennym powietrza jest 1,05 gr. wody.

Przy	—15	w metrze sześciennym	powietrza		—	1,6	gr.	wody
„	—10	„	„	„	—	2,3	„	„
„	— 5	„	„	„	—	3,1	„	„
„	— 0	„	„	„	—	4,8	„	„
„	+ 5	„	„	„	—	6,6	„	„
„	+10	„	„	„	—	9,4	„	„
„	+15	„	„	„	—	12,8	„	„
„	+20	„	„	„	—	17,3	„	„

Jest jednak granica, ponad którą powietrze nie może wchłonąć więcej wody—nazywa się to stopniem wysycenia. Suche powietrze odbiera organizmowi wodę i ciepło, skóra staje się chropowatą i szorstką, błona śluzowa dróg oddechowych wysycha, głos chrypnie i zjawia się pragnienie. W wilgotnem powietrzu woda z trudnością paruje z powierzni ciała, skóra mniej się ochładza, gdyż organizm nie traci ciepła potrzebnego do parowania. Określając wpływ wilgotności na ustrój człowieka, należy brać pod uwagę to, że i człowiek oddaje pewną ilość wody przez skórę i przez narządy oddechowe.

Mniej więcej wynosi to 2,300 gr.: kałem i moczem 1,400, a 900 przez płuca i skórę. To znaczy, że jeżeli organizm wyda mniej wody, to pozostają w nim szkodliwe produkty, nadmiar zaś potu osłabia.

(D. c. n.).



Dr. FRANCISZEK BIAŁOKUR gen. bryg.

Praca samarytańska i społeczna kobiet polskich w powstaniu styczniowem 1863 — 1864.

V.

Na kilka lat przed powstaniem styczniowem zawiązało się we Lwowie stowarzyszenie kobiece p. t. Towarzystwo imienia Klaudyny z Działyńskich Potockiej, do którego należały: Lud. Kumersberg, Julja Dzierżanowska, Zofja Romanowiczówna, Fel. Cieszkiewiczowa, Klem. Wasilewska i in.

Celem tego stowarzyszenia było uszlachetnianie się osobiste i podnoszenie do tego poziomu otoczenia dla przeciwdziałania osłabieniu ducha narodowego.

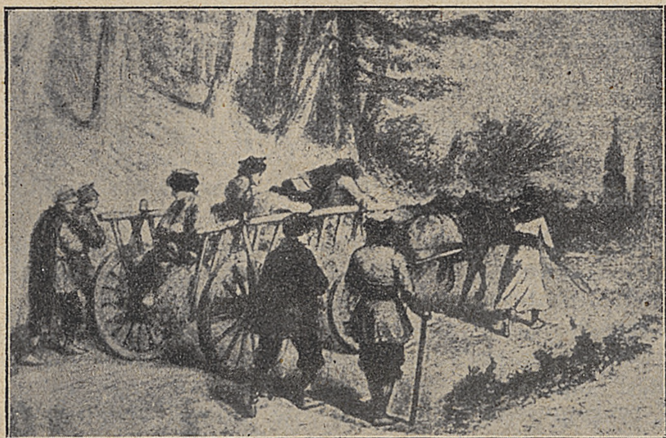
Drugim celem była praca nad ludem. Statut zobowiązywał kobiety, by pracowały nad oświatą ludu i przygarniały lud do siebie, szerzyły i krzewiły pojęcia narodowe.

Rozrost stowarzyszenia przekroczył daleko Lwów i zmuszał do połączenia się we wspólnej organizacji.

Stowarzyszone nazywały się między sobą „siostrami", zobowiązywały się do tajemnicy przysięgą i jako znak stowarzyszenia nosiły malutkie czarne, żelazne krzyżyki.

Przewodniczącej nie było; tylko tak zwana „najstarsza siostra" i „młodsze siostry".

Z rozrostem stowarzyszenia W. Dybowska wniosła „projekt do zmiany statutu", w myśl którego utworzono stowarzyszenia okręgowe. Naczelne kierownictwo skupiało się wtedy w ręku „Naczelnej Przełożonej", przyczem utworzono także kasy okręgowe, których przedtem nie było.



Odstawianie rannych do Krakowa podczas powstania 1863 r.

Ze zbioru St. Zarewicza.

Związek ten nosił krótką nazwę „Stowarzyszenia Klaudynek".

Kiedy wybuchło powstanie, dla stowarzyszenia Klaudynek otworzyła się inna droga pracy konkretnej i na wniosek Felicji Boberskiej powstał „Komitet nienawiści", którego celem było wspieranie powstania wszelkiemi możliwemi sposobami. W tym celu postanowiono zorganizować się w „dziesiątki" tak, żeby każda dziesiątka składała uzbierane fundusze na ręce dziesiętniczki.

Zawiązanie tego komitetu nastąpiło już w końcu stycznia 1863 r., gdyż w lutym rozpoczęły się wkładki regularne. Jak widać ze sprawozdań odnosiły się one wtedy wyłącznie

do Lwowa i dopiero w końcu marca zaczęły napływać fundusze z prowincji. Ogółem należało do organizacji 2,000 kobiet. Dla ułatwienia pracy Lwów był podzielony na 4 okręgi, a każdy okręg miał swoją naczelniczkę i dziesiętniczki dla zbierania podatków. Główny kierunek miała Leonja Wildowa, a do pomocy jej służyły: Rayska, Barszczowa i Pelagja Gostyńska. Czynności organizacyjne spoczywały czas jakiś w ręku Mieczysławowej Pawlikowskiej.

Statutu, zdaje się, „Komitet Niewiast" nie posiadał.

Pieniądze zebrane szły według myśli przewodniej wypowiedzianej w odezwie. Kupowano sukno, bieliznę, buty, żywność dla obozów. *Tworzono lazarety tajne* i zaopatrywano je w lekarstwa i potrzeby.

Rząd Narodowy poparł pracę kobiet lwowskich odezwą do „Komitetu Niewiast polskich we Lwowie" z dn. 26.6.63 r. „Wyście do tej walki straszliwej zdołały przynieść coś więcej nad łzy i modlitwy. Silne, bo kochające, wierne, bo nadziei pełne. Stoicie u krat więzienia, chylicie się nad łóżkami szpitalnemi, a z grona waszego, co już zasilał wdowy i sieroty, został jeszcze jeden pieniążek kosztowny, za który kupujecie tę broń drogą—co ma dać wolność Ojczyźnie naszej. Niewiasty polskie! Rząd Narodowy dziękuje Wam za to".

Do Komitetu Niewiast należały: Felicja Wasilewska, Hortensja Jakubowska, Celina Łączyńska, Turosiewiczowa, Zofja Orzechowiczowa, Leonja Wildowa, Żerdzińska, Felicja Czeszkiewiczowa, oraz nienależąca do Komitetu, bardzo czynna, Pelagja Gostyńska i in.

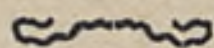
Z czasem jednak Komitet ów począł działać zupełnie niezależnie, według swego widzenia rzeczy rozporządzając się zebranemi funduszami. Organizator wojenny Galicji Wschodniej, pułkownik Struś, (Dr. Stella Sawicki) powiada: wytworzył się system protekcyjny. Pewne oddziały miały wszystkiego do zbytku, gdy w innych wszystkiego brakowało. Takie postępowanie nie było pożądanem i na wniosek Ławy Głównej Lwowskiej (Komitet Galicji Wschodniej) komisarz Rządu Narodowego rozwiązał stowarzyszenie i utworzył nowy Komitet, który właściwie pozostał w tym samym składzie, lecz był uzależniony od komisarza.

Niewiele instytucji oddało tyle usług powstaniu, ile Stowarzyszenie Kobiet Lwowskich. Panie te ciężką pracą i poświęceniem, wspólnie z całą prowincją, siecią pokryły cały kraj. Ręce kobiet polskich *robiły ładunki*, szyły koszule i mundury, *przyrządzały szarpie i bandaże*. Niejedna już z nich straciła w powstaniu ojca, brata lub narzeczonego.

Gdy powstaniu brakło pieniędzy na zakup broni, Polki zrzuciły z siebie kosztowności, klejnoty familijne, a nawet ślubne obrączki składały na ołtarz walczącej Ojczyzny. Całe oddziały były umundurowane przez nie. Opowiadano o jednej, co nie posiadając żadnego majątku, zebrała ze składek 1000 złotych i własną ręką uszyła 600 koszul dla żołnierzy.

Kobiety podejmowały się najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych zleceń. Woziły depesze do Warszawy, przechodziły wszelkie rewizje (Materjały do Powstania 1863 r., T. II, Pam. Strusia, str. 59—60). Stowarzyszenie Niewiast polskich wniosło do skarbu Galicji Wschodniej w lutym, marcu i kwietniu 1863 r. — 64,000 franków. W ten sposób kobieta polska stała się uczestniczką walki o niepodległość i jednym z najpotężniejszych czynników tej walki.

d. c. n.



WYSPA TRĘDOWATYCH.

„Ależ, niech się pan nie boi! Zobaczy pan, jacy oni są mili" mówiła siostra Adela, namawiając mnie do zwiedzenia wyspy Culao Rong.

Ogromnie lubiłem siostrę Adelę i miałem dla niej rzetelne uczucie podziwu i szacunku.

Dwanaście lat spędziła w Gujanie, potem przybyła do Indo Chin, gdzie obecnie od lat dwudziestu pielęgnuje chorych. Opowiadała mi, że gdy przyjechała poraz pierwszy do szpitala w mieście Mytho w Kochinchinie, z własnej ochoty zaczęła pracować w lazarecie dla chorób zaraźliwych. „Ja doprawdy wolę być przy chorych epidemicznych" tłomaczyła mi ze słodkiem uśmiechem.

Od tej chwili już nie opuściła lazaretu.

Przywożono tam ludzi beznadziejnie chorych, których rodziny chciały się pozbyć, a żaden znachor już nie chciał się niemi zajmować. Byli to chorzy na cholerę, tyfus, ospę a nawet, dość często na wściekliznę. Wszyscy bali się do nich zbliżać.

„Doprawdy, mówiłem jej nieraz, siostra zdumiewa mnie swoją odwagą. Czy istnieje wogóle coś takiego, czego by się siostra bała?"

To zawsze wywoływało żywy protest.

„Ja wcale nie jestem odważna, pan się bardzo myli, niema większego tchórza na świecie odemnie. Boję się strasznie aż trzech rzeczy: piorunów, wężów i szatana".

Pioruny pojawiają się często w tych stronach w okresie suszy letniej; wężów równie tu nie brakuje; ale co do szatana, to można twierdzić na pewno, że siostra Adela nigdy się z nim nie spotka...

Jest to niezmordowana pracownica. Ciężki klimat tutejszy, tak niebezpieczny dla europejczyków—znosi wybornie. Często się ją widuje drepczącą w samo południe w największy upał po słońcu, bez żadnego okrycia na głowie, lecz nigdy nie uległa porażeniu.

Ona to namówiła mnie, abym odwiedził kolonję trędowatych na wyspie Smoczej, (Culao Rong). Wyznaję, że nie miałem do tego najmniejszej ochoty. Żywo jeszcze stało w mej pamieci okropne wrażenie, jakiego doznałem, zwiedzając taką samą kolonję Kien Luong. Widziałem tam około stu ludzi ohydnie zeszpeconych trądem, przebywających w szopie otwartej na cztery wiatry, w łachmanach, ledwo okrywających ich zniekształcone ciała. Pilnował ich jedynie dozorca. Biedacy, dowiedziawszy się, że jestem Francuzem otoczyli mnie, wołając w swym łamanym djalekcie: „Łaskawy panie! ulituj się nad nami, jesteśmy zanadto nieszczęśliwi; zimno nam, nie możemy wytrzymać tych okropnych warunków!” Wzięli mnie widocznie za jakiegoś dygnitarza, posiadającego władzę ulżenia ich ciężkiej doli. Niestety nic dla nich zrobić nie mogłem. Byłem skromnym podróżnikiem; przewodnik pokazując mi ciekawości miasta, przyprowadził mnie do tego opłakanego miejsca. Odchodząc stamtąd, nie mogłem oprzeć się dotkliwemu uczuciu: wstydziłem się że jestem zdrów, że mam ciepłą i całą odzież i swobodę ruchów...

Wkrótce dowiedziałem się z niemałę radością, że dola tych nieszczęśliwych znacznie się poprawiła. Do owej kolonji przybył misjonarz i zgodnie z prawem nie zamieszkał w szałasie trędowatych, lecz w osobnej chacie, którą własnemi zbudował rękami i zajął się gorliwie losem trędowatych. Przedewszystkiem przyniósł im „Dobrą Nowinę” a z nią wiarę, że ich straszne cierpienia, przebyte na tej ziemi, odkupią im wieczyste szczęście. Zbudował dla nich kapliczkę, w okaleczone ręce włożył różaniec i nauczył ich z ufnością zwracać się do Tego, w którego mocy jest wszelka pociecha i osłoda.

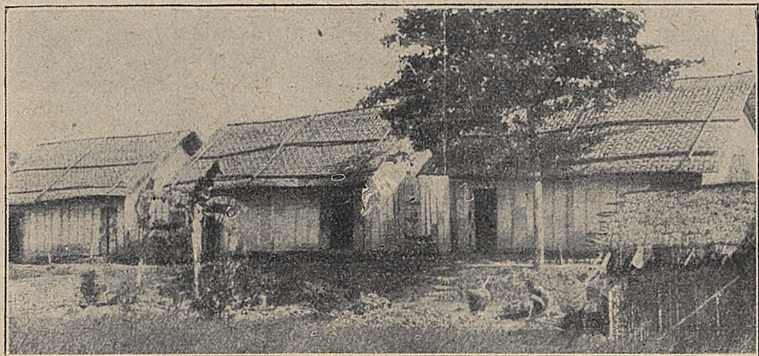
Proste dusze przylgnęły do Wiary z taką mocą i tak pokochały kapliczkę, iż jeden z trędowatych co noc dyżurował, aby czasem jaki włóczęga złoczyńca nie okradł świętego przybytku, który stał się dla tych ludzi, wyrzuconych poza nawias życia, jedynym i najdroższym skarbem.

Zresztą nietylko religijną pociechę przyniósł im zacny Ojciec Misjonarz. Dzięki jego staraniom otrzymali odzież, lepszą strawę i mieszkanie.

Długo jednak nie mogłem otrząsnąć się z gnębiącego wspomnienia, jakie w głębi duszy pozostawił mi widok tych biedaków.

To wrażenie straszliwej krzywdy trędowatych zostało usunięte, dzięki siostrze Adeli, gdy mnie wreszcie zdołała namówić do zwiedzenia na Smoczej Wyspie kolonji trędowatych.

Wysepka ta położoną jest na jeziorze Mekong, naprzeciwko miasta Mytho. Zdala już sprawia miłe wrażenie gaju palmowego. Dostać się do niej dość trudno, bowiem wkoło



Baraki trędowatych w kolonji Kien Luong.

wyspy są tak silne prądy, że nie zawsze statkom udaje się przybić do brzegu, tak jakby sama przyroda broniła wstępu na tę wyspę niedoli.

Kiedy się u nas w Europie wymawia wyraz „trąd" stają nam w oczach postacie ohydnie zeszpecone: twarze bez nosów i warg, oczy bez powiek, a więc istoty pogrążone w najskrajniejszej, beznadziejnej rozpaczy. Człowiek zdrowy, żyjący w mniej lub więcej normalnych warunkach, bez mimowolnego wstrętu nie może zatrzymać myśli swej nad tą najsroższą, najohydniejszą formą ludzkiego cierpienia.

Z pojęciem cierpienia zwykliśmy łączyć pojęcie zewnętrznych jego objawów. t. j. jęków, szlochów, narzekania a nawet przeklinania losu. Zwłaszcza, iż nie tak dawno w Kien Luong widziałem ten obraz w całej rozpaczliwej grozie.—Któż opisze moje zdumienie, gdy zbliżając się z sio-

strą Adelą do osiedla trędowatych, ujrzałem pośród równych ulic wysadzonych palmami szeregi schludnych białych domków, a opodal na placu oczom moim ukazała się grupa ludzi, biało ubranych, wykonywujących wśród wesołych pokrzyków ochoczy, zawrotny taniec.

W pierwszej chwili wierzyć nie chciałem własnym oczom. Dopiero, gdy już byłem blisko ujrzałem zeszpecone trądem twarze, i to mnie utwierdziło, że istotnie znajduję się w kolonji trędowatych.

W pobliżu placyku siedzieli na ziemi ci, którzy już nie mogli brać udziału w zabawie—bo mieli sinę,] otwornie opuchnięte nogi, więc przyglądali się tylko zdala tańczącym, a pogodny uśmiech nie schodził im z ust.

Przyjście nasze przerwało zabawę. Wśród Annamitów o ciemnej cerze, zauważyłem siedemnastoletniego, zgrabnego chłopca. Pomimo ciemno-czerwonych plam na opuchniętej twarzy, odrazu zrobił na mnie wrażenie europejczyka.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy na zapytanie siostry Adeli: „Jak się miewasz Emilku?" usłyszałem odpowiedź chłopca w najczystszej francuskiej mowie:

„Doskonale się czuję siostrzyczko i tańcuję coraz lepiej", dodał z dumą.

Siostra dopiero wyjaśniła mi, że przed kilkunastu laty chłopca tego porzuciła para małżeńska Francuzów w jednem z miast Indochin — ponieważ był zarażony trądem. Jakiś misjonarz odnalazł go w porcie, błąkającego się o chłodzie i głodzie. Przygarnął go i stwierdziwszy, że istotnie ma początki trądu, przywiózł go tu do kolinji Culao Rong. Chłopiec pamiętał doskonale piękną swą matkę i bogatego ojca. Lata upłynęły, zanim uwierzył, że rodzice po niego już nigdy nie przyjadą i zanim uspokoiła się w nim szalona za nimi tęskota. Czas jednak zrobił swoje—chłopczyna przywiązał się go swych opiekunów, zwłaszcza do Ojca Misjonarza, który z nim rozmawiał w ojczystym języku i czuł się tu prawie szczęśliwy. Choroba względnie łagodnie się rozwijała—był zręczny, pracowity, miał wielkie zdolności do tańca i wszyscy go tu lubili za jego niefrasobliwą wesołość.

I pomyśleć, że tam we Francji, żyje sobie dwoje ludzi w dostatkach i może nawet raz do roku nie pomyślą o popełnionej zbrodni względem własnego dziecka... Wszakże być może ta choroba w samych zaczątkach mogła być uleczoną...

Jeśli ten opis wpadnie w ręce niegodnych rodziców, życzę im z całego serca, aby sumienie ich, jeśli je jeszcze posiadają—wywołało dreszcz zgrozy za ten ich zbrodniczy czyn.

Zwiedziłem szczegółowo całą kolonję. Wszędzie wzorowy ład i porządek, a nawet możliwie wygodne warunki dla bardziej chorych! I opieka, słodka, serdeczna opieka, czujna na ból.

Najcięższem wrażeniem tego dnia był dla mnie widok staruszki, stoczonej tak okropnie przez trąd, że ledwo zachowała kształt ludzki. Bezustanku głucho jęczała, dopóki jedna z siostr nie zastrzyknęła jej morfiny, którą w coraz to większych dozach trzeba było stosować, by ulżyć jej strasznym cierpieniom.

Ponad wszystkiem jednak w duszy mojej górowało uczucie bezgranicznego podziwu i czci dla tych anielskich istot w białych kornetach. Jako młodziutkie dziewczęta, opuściwszy Francję, porzuciły łatwe, pełne ponęt i nadziei życie, by tu, w tem przybytku cierpienia, nieznane nikomu, zdala od rodzin nieść ulgę najbardziej przez los pokrzywdzonym Obok nich — urodziwa i dziarska postać młodego doktora Francuza. Mógł przecie pożytecznie pracować w kraju, mógł mieć rodzinę, szczęście osobiste i majątek. Wyrzekł się wszystkiego i tu wiedzę swą oddaje w ciszy i zapomnieniu, by koić ból tych męczenników. Wreszcie—grono Misjonarzy. Jakże słusznie nazywają ich „Ojcami"—bo ten jedynie tytuł właściwym jest dla tych ludzi, bo iście ojcowską miłość niosą w ofierze światu, by w duszach rozniecać światło wiary, tę jedynę osłodę, która daje nadzieję zbawienia wiecznego.

„Ojcowie" i „siostry" to rodzina trędowatych.

Czy jest w mowie ludzkiej dość silny wyraz, aby określić tę potęgę ducha, która kieruje ich na tę drogę nadludzkiego poświęcenia? Większość ich oczywiście zaraża się trądem i umiera tu na wyspie. Spotkało to siostrę Brygidę, do której zaprowadziła mnie siostra Adela. W białej chacie leżała na twardym tapczanie i była już na progu śmierci. Spełniła swe szczytne zadanie: piętnaście lat spędziła wśród trędowatych. Ofiarna, przeczysta jej dusza lada chwila znajdzie się u Stóp Tego, który kążdą łzę, każdy czyn, każde poświęcenie sprawiedliwie nagrodzi. W uśmiechu jej bladych ust był wyraz odlatującego w bezkresy anioła.

Za chwilę miałem opuścić wyspę trędowatych. Siostra Adela przypomniała mi o konieczności umycia rąk i twarzy.

Całe grono trędowatych odprowadziło nas do chaty i przez otwarte okno patrzyli na mnie życzliwie, gdy starannie oblewałem twarz i ręce roztworem sublimatu. I znów nie mogłem oprzeć się wrażeniu zawstydzenia. Jakże małostkową i egoistyczną wydała mi się ta troska o zdrowie — wobec ich nieuleczalnego cierpienia.

Statek nasz odbił od brzegu, a ja żegnałem z najgłębszem wzruszeniem i przenikliwym żalem „wyspę trędowatych. —

(Illustration, 21 Mars 1925 Rolland Dargelès Les lépreux de l'Ile du Dragon. Wolny przekład A. R.).

Działalność hiszpańskiego Czerwonego Krzyża w Marokku.

We wrześniowym numerze miesięcznika „Revue Internationale de la Croix Rouga" (Przegląd międzynarodowy Czerwonego Krzyża) podane jest ciekawe sprawozdanie o pracy hiszpańskiego Czerwonego Krzyża w Marokku, wygłoszone na XII międzynarodowej Konferencji w Genewie przez p. Rudolfa Haccius'a, wielce zasłużonego działacza czerwonokrzyskiego, który przez dłuższy czas brał udział jako delegat w Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża, a ostatnio był delegowany do Marokka dla pokierowania budową i urządzeniem polowego szpitala. Sprawozdanie z działalności hiszpańskiego Czerwonego Krzyża w tym egzotycznym kraju przedstawia tak zajmujący materjał dla rodziny czerwonokrzyskiej, że redakcja miesięcznika naszego pragnie podzielić się nim z czytelnikami.

Inicjatywę do tej działalności w Marokku w 1921 r. podała Królowa hiszpańska Wiktorja, która jest prezesem hiszpańskiego Czerwonego Krzyża. Dostojna obywatelka, w trosce o żołnierzy walczących za ojczyste ideały, postanowiła zorganizować odpowiednią pomoc dla rannych. Na zew królowej całe społeczeństwo hiszpańskie odpowiedziało hojnemi na ten c l ofiarami — które składali nietylko bogaci, lecz nawet niezamożni.

Narazie użyto na szpital gmach szkoły zakonnej w Melilli. Wkrótce ze składek publicznych zbudowano szpital na 150 łóżek, tworząc jednocześnie liczne czołówki na pierwszych linjach frontowych. Wobec braku środków komunikacyjnych, armja miała tysiące trudności z dostawą rannych do dalszych punktów opatrunkowych, to też znakomicie zorganizowane czołówki czerwonokrzyskie, zaopatrzone bo-

gato w materjał przewozowy, we wszystkie potrzebne środki lecznicze i opatrunkowe oddały olbrzymie usługi walczącym armiom.

Obecnie oprócz Melilli wszystkie większe miasta Marokka jak Larache, Tetuan i Centa posiadają szpitale i ambulatorja zorganizowane przez hiszpański Czerwony Krzyż, który obsługuje z jednaką pieczołowitością zarówno europejczyków, jak i ludność miejscową. Ta ostatnia dość szybko pojęła wielki pożytek tych instytucji. Z początku trzeba było zwalczać nieufność krajowców, która narazie hamowała działalność samarytańską, dziś jednak stwierdzić już można, że Czerwony Krzyż zdołał zaszczepić tam niektóre prymitywne zasady higjeny a co za tem idzie stanie się on propagatorem kultury. Wierzenia religijne krajowców, zarówno jak ich obyczaje, są tak dalece szanowane przez czerwonokrzyskich działaczy, że w szpitalach zaprowadzono specjalną żywność dla chorych wyznania mahometańskiego. Oprócz dodatniego wpływu pod względem cywilizacyjnym, niewątpliwie hiszpański Czerwony Krzyż odegra bardzo poważną rolę pacyfikacyjną w świeżo zdobytych okolicach, będzie zaś miał wielce ułatwione zadanie, ponieważ Najwyższy Komisarz Rządu hiszpańskiego gen. Sanjurjo gorąco popiera wszystkie poczynania Czerwonego Krzyża w Marokku i czuwa nad wszystkiemi jego potrzebami.

W Cala Bonita zbudowano zupełnie nowy typ szpitala napół ruchomego, posiadającego maximum wygód i urządzeń higjenicznych. Specjalna komisja opracowywała projekty na ten szpital, wybrała wreszcie typ idealny baraku drewnianego, na wzór budowli barakowego typu, używanych w Szwajcarji dla lokowania wojskowych górskich oddziałów.

D. c. n.



ZRZESZENIE SIÓSTR POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

W Zaduszki — ku czci poległych na froncie Sióstr Polskiego Czerwonego Krzyża.

Z ciepła rodziny wydarte na burze,
Nielękające się nawałnic wojny,
Pod Czerwonego Krzyża znakiem świętym
Poszłyście spłacić dług Ojczyźnie naszej.
Choć czynów Waszych nikt wtedy nie sławił,
Lecz wyście miały tę potęgę wielką,
Żeście umiały zawsze uśmiech słodki
Na swoje twarze przejasne wywołać...
A znając dobrze nasze przykazania,
Wieleście dobra czyniły bezgłośnie...
Aż z oczu Waszych cicha łza upadła
I zasnęłyście w wiecznym śnie... w spokoju.
Za trud nagrodę jeden Bóg zgotował.

. . . .

Niech wszystkie siostry mówią dziś modlitwy,
I wszystkie ze czcią niech pochylą czoła,
I niechaj szepczą „Wieczne odpocznienie...”

MARJA GRYLÓWNA.
Siostra P. C. K. z Oświęcimia.

Życiorys Florence Nightingale

w przekładzie hr. Marji Pruszyńskiej, Przewodniczącej Sekcji Sióstr P. C. K. w Poznaniu.

I.

Wysoka i szczupła, jasna i smukła, o rysach szlachetnych i owianych dziwnym jakimś urokiem; taką była w młodości swej Florence Nightingale.

Coś jak sztych angielski z ubiegłego wieku. Widzimy na nich giętkie i zgrabne postacie kobiet o gładko uczesa-

nych główkach. Pochylają się nad karkiem końskim lub przechadzają się po parku w towarzystwie psa faworyta.

Florence Nightingale przeszła przez życie zwycięsko. Pokonała wszystkie przeszkody, celu swego dopięła, choć szła do niego lekkim i cichym, lecz pewnym krokiem, nie przepychając się łokciami, nie starając się o pierwsze miejsce, nie wołając o swoje „prawa”. Słowem — inaczej zupełnie, niż to zwykły robić przodowniczki ruchu kobiecego.

Ona nie ubiegała się o żadne przodownictwo. Przeciwnie, zupełne zaparcie się własnego „ja” opromieniło ją sławą. Urodziła się wybranką losu: piękność, majątek, doskonałe stosunki, wszystko było jej udziałem, a mimo to w sercu swojem nie wzniosła świątyni próżności i bezmyślnej rozkoszy. Pobłażliwa i wyrozumiała dla słabości ludzkich — nie moralizowała nikogo, kierując się jedynie myślą zupełnego poświęcenia własnej osoby dla cierpiącej ludzkości. Nie zdecydowała się na zamążpójście, ale serce jej od wczesnej młodości ogarnęło bezbrzeżnem macierzyńskiem uczuciem wszystkich tych, którzy potrzebowali pomocy i pociechy.

Wojna krymska, cierpienia żołnierzy rannych i tak niedbale pielęgnowanych, dały jej wzniosłej duszy sposobność użycia wszelkich sił, celem ulżenia ciężkiej niedoli.

* *
*

Florencja Nightingale urodziła się 1821 r. w jednej z willi w pobliżu Florencji. Może dla tego wrodzony wdzięk włoski wniknął w jej rasową urodę Angielki. Imię swe zawdzięczała miastu, w którem ujrzała światło dzienne. Imię to dodane do nazwiska tyle znaczącego (Nightingale—słowik) tworzyło razem harmonijną całość.

Ojciec jej był jednym z tych ludzi o rozległej kulturze i wysokim poziomie moralnym, jakich Anglja wydała w pierwszej połowie XIX-go wieku. W życiu swem dużo podróżował. Wolał czytać, niż zajmować się sportem, a wróciwszy do kraju zajął się gorliwie kształceniem swych dzierżawców.

M-rs Nightingale zaś piękna kobieta, rozumna i wykształcona, doskonale dom swój prowadziła, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, a mimo to miała czas na oddawanie się dobrze pojętemu miłosierdziu. Od niej to Florencja nauczyła się współczuć i pomagać drugim.

Żyjąc bardzo dostatnio, bywając w najwyższych sferach i mieszkając w ślicznym dworze wiejskim, rodzina Nightingale tworzyła harmonijny ośrodek wyrafinowanej kultury, który na dzieweczce wycisnął niezatarte piętno.

Rodzice jej władali kilkoma majątkami ziemskimi; mieszkali jednak najchętniej w Lea—Hurst, wiejskim dworze, leżącym w malowniczem położeniu. Poza rozległym parkiem ciągnęły się lasy, wyścielone na wiosnę błękitnym barwinkiem.

Od dziecinnych lat, Florencja była zapaloną miłośniczką przyrody: miłowała jej głosy i życie wiejskie ukochała nad wszystko. W stosunkach z dzierżawcami ojca nauczyła się obcować z nędzą, która w niej żadnego nie wzbudzała wstrętu. Przyszłe jej powołanie przejawiało się w troskliwych staraniach, jakiemi otaczała swe lalki, wymyślając dla nich niestworzone choroby, byle tylko oddawać się pielęgniarstwu, podczas gdy jej rodzona siostrzyczka — umyślnie rozbijała wszystkie zabawki, oddając Florencji do naprawy poćwiartowane lalki. Uczucie swe rozciągała też na wszystkie zwierzęta; im były słabsze i starsze, tem więcej przywiązywała się do nich.

W owym czasie nie istniały jeszcze żadne dobroczynne komitety. Kto istotnie litował się nad ubogimi, ten uprawiał miłosierne uczynki na własną rękę, to też M-rs Nightingale córce swej powierzyła obowiązki jałmużniczki, wysyłając ją z darami po okolicznych wsiach, wraz z lekarstwami, pudingami i niezbędnymi do życia środkami żywności Florencja nosiła zawsze kwiaty chorym, gdyż od młodości wierzyła w dobroczynny ich wpływ na tych, którzy cierpią.

M-r. Nightingale, nie mając syna, wykształcenie córek skierował na klasyczne tory i postawił je na poziomie znacznie przewyższającym ówczesną umysłowość przeciętnych Angielek. Systematyczność w nauce i postępowaniu, wyniesiona z domu rodzicielskiego niezmiernie się potem przydała Florencji Nightingale. Od chwili wejścia w tak zwany „świat” wyrobiła sobie w nim samodzielne stanowisko. Znała języki obce, znała Europę z niejednokrotnych podróży, uprawiała sztuki piękne i oddawała się pożytecznej pracy: nauczaniu w szkołach i wykładom biblji dla młodych kobiet w swej parafji.

Nightingal'owie dużo przyjmowali osób i od czasu do czasu spędzali „sezon” w Londynie, gdzie uroda, talenty i wdzięk Florencji cieszyły się wielkiem powodzeniem. Wiemy, że miała konkurentów i wzbudzała gorące uczucia, lecz przyszłe powołanie już ją wówczas wołało. Nieraz mówiła, że dom i jego zadania, to zaciasne dla niej pole pracy, lecz obranie zawodu pielęgniarki przez zamożną panienkę z „dobrego domu” — Boże drogi! sama myśl o tem zdawała się wtedy jeszcze potworną!...

Florencja została pionierką tego posłannictwa i jako taka na drodze swej napotkała spiętrzone przeszkody, które nietylko, że jej nie zrażały, lecz przeciwnie wzmacniały jej gorące serce w raz powziętem postanowieniu. W owej przełomowej chwili życia spotkała kogoś, kto na jej przyszłość całą wywarł wpływ decydujący. A spotkanie to miało miejsce we Florencji, w galerji Uffizi, przed pięknym obrazem Albertinelli'ego — Nawiedzenie. Stara o wyniosłej i pięknej postawie kwakierka, mająca za sobą ukończone już prawie zbożne dzieło: pracę wśród przebywających w więzieniu kobiet, zetknęła się przed obrazem miłosierdzia z młodą dziewczyną, marzącą o wcieleniu w życie ideałów poświęcenia i zaparcia się własnego ja.

Miss Fry — owa kwakierka i założycielka, na własny rachunek domku w Londynie, w którym zamierzała kształcić pielęgniarki, podsunęła Miss Nightingale myśl zwiedzenia szpitali na kontynencie. Podróż ta przekonała Florencję o niskim poziomie takowych w Anglji, gdzie znajdowały się one przeważnie w rękach ciemnych i nieokrzesanych kobiet, stwarzających wprost upadlającą atmosferę. Pielęgniarki piły, nie miały żadnych zasad, prowadziły się niemoralnie, więc sale szpitalne przedstawiały nieopisany widok brudu i niechlujstwa. Zawód ich w takiej był pogardzie w Anglji, że przyzwoita kobieta obrać go nie mogła, pod grozą utraty dobrego imienia. Stanowiło to straszny kontrast z łagodnemi, katolickiemi Siostrami Miłosierdzia, spotykanemi przez Florencję na kontynencie i nawet z surowemi protestanckiemi Djakoniskami z Kaiserwerth.

Więc Miss Nightingale postanowiła wstąpić na naukę, jako ochotniczka do tegoż zakładu. Liczyła wówczas lat 29. Rok 1849 znaczy się pamiętną datą w jej życiu, w nim bowiem raz na zawsze zerwała z zakorzenionymi w Anglji przesądami.

* * *

Pastor Fleidner, Dyrektor w Kaiserwerth zrozumiał, że chcąc walczyć skutecznie z chorobą i występkiem, świat protestancki potrzebował kobiet wyszkolonych i trzymanych w ostrym rygorze; wskrzesił zatem zawód Djakoniski, istniejący niegdyś w kościele pierwotnym, a zupełnie zarzucony w późniejszych wiekach.

Obowiązek pielęgnowania chorych i ubogich uważany dziś za rzecz zupełnie naturalną, wydawał się naówczas pomysłem tak nowym i zuchwałym, że wprowadzenie go w czyn wymagało niebywałej odwagi i wytrwałości.

Dzieło dr. Fleidnera zaczęło się nie od zamków na lodzie, lecz od dwóch łóżek pod jednym dachem — pisała Florencja Nightingale—dziś zaś Keiserwerth Djakoniski swe rozsyła do wszystkich prawie państw protestanckich.

Kaiserwerth leżało w pobliżu Düsseldorfu. Djakoniski nie posiadały się ze zdziwienia, że młoda Angielka, bogata i z dobrej rodziny odbywa praktykę w ich szkole, gdyż podobny wypadek dotąd nigdy nie miał miejsca.

Miss Nightingale podbiła je jednak odrazu wrodzonym swym wdziękiem i łatwością zastosowania się do wszelkich okoliczności życia. Wychowana w zbytku i swobodzie, zastosowywała się wesoło i do rygoru i do arcyskromnego trybu życia sióstr pielęgniarek.

Wróciwszy do Anglji, Florencja wyrzekła się zupełnie światowych stosunków. Wydała broszurkę z opisem zakładu w Kaiserwerth i założyła szkołę pielęgniarek, korzystając z tego, że wśród kobiet wyższych sfer zaczynał powoli nurtować prąd myśli o celowej i pożytecznej pracy. Wskazywała im nowe pole działania, uczyła, że niezamężne kobiety mogą mieć piękny cel w życiu i gorąco propagowała zawód Djakoniski, skasowany w Zachodnim Kościele w XII-ym wieku.

D. c. n.

OKÓLNIK

Zarządu Zrzeszenia Sióstr P. C. K. do delegatek Zrzeszenia Sióstr.

Sprawa zrównoważonego budżetu jest palącem zagadnieniem nie tylko dla władz państwowych, lecz również ważną i w życiu instytucji, jak i osób prywatnych na prawidłowym bowiem budżecie opiera się unormowanie życia i jaśniejsza przyszłość.

Pamiętając, iż Państwo nasze, jako wielka rodzina, jest związkiem drobnych kółeczek, których gospodarka składa się na całość dodatnią lub ujemną, pragnęłybyśmy w myśl hasła: „czyń każdy w swem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży" przystąpić do budżetu Sióstr P. C. K.

W tym celu zwracamy się do naszych Zrzeszonych z propozycją, by zechciały każda osobno, lub wspólnie opracować wzorowy budżet Siostry P. C. K., należy przytem liczyć się z różnemi stopniami płacy, wynikającemi z wysługi lat i kategorji Sióstr t. j. zawodowych i pomocniczych.

Przy układaniu budżetu trzeba wziąć pod uwagę stosunek osobisty, ponieważ Siostra, która pomaga rodzinie, ma inne ciężary do pokrycia, niż Siostra, która utrzymuje tylko siebie, całość winna być ujęta w pewną ilość rubryk jak na przykład:

Kategorja Siostry	Wysługa lat	Wysokość poborów	WYDATKI						
			mieszkanie i utrzymanie	dożywianie	ubranie	inne wydatki, jak pranie i t. p.	pomoc rodzinie	przyjemności	inne rubryki

Powyżej omawiane projekty budżetu prosimy przesłać pod naszym adresem; specjalnie w tym celu utworzona Komisja po rozpatrzeniu przesłanego materjału orzeknie, które projekty są najlepsze, odznaczy takowe, (możliwe, że zdobędziemy premję za najlepszy) zaś odznaczone budżety będą na Walnem Zebraniu podane do wiadomości delegatek z poleceniem zastosowania.

Mając nadzieję, że Szanowne Siostry podzielą nasze zapatrywania co do ważności sprawy, oczekiwać będziemy przesłania nam projektów i pozostajemy

Z poważaniem

(—) *J. Świdówna*
Przewodnicząca

(—) *Br. Karpowiczówna*
Sekretarka.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA (MAZOWIECKA 9 m. 7 tel. 302-96) OTWARTA JEST PRÓCZ ŚWIĄT I NIEDZIEL OD 10—2 PO POŁ.

Ceny ogłoszeń przesyła się na żądanie.

Rękopisów nadesłanych redakcja nie zwraca.

NACZELNY REDAKTOR: **ANNA ROSZKOWSKA.**

Redaktor i Wydawca za Warsz. Okr.-Oddz. P. C. K.: **FELICJAN KUROK.**

Drukarnia Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8, tel. 74-09.